

Pamiętnik Słima Morano – 9

8 sierpnia 2020

W niewoli Atai. Kronika roku 2006

Zapytałem kiedyś Hermana: „Co to jest śmierć? Czy śmierć w ogóle istnieje?” Odpowiedział mi: „Dla jednych śmierć jest początkiem, a dla innych końcem wszystkiego. Ale tak naprawdę śmierć to jest taki kopiec, który usypywałeś sobie całe życie. Im wyższa jest ta twoja góra, tym wspanialszy roztacza się z niej widok. Wystarcza teraz tylko na krótko zamknąć oczy i po chwili je otworzyć: i oto masz przed sobą to, co sobie wymarzyłeś...”

Znowu umarłem. Przyczyną mojej kolejnej śmierci była moja kolejna tragiczna miłość. Miłość do kobiety. Ale właściwie miłość ze współczucia. Niby zakochuję się i niby – jak zwykle – wszystko stawiam na jedną kartę. Tylko tak naprawdę to zakochuję się z posłannictwa. Z posłannictwa ratowania istot kobiecych, które nie wiedzą, co czynią. I moja śmierć za nie – jest moim aktem cierpienia. Cierpienia, które być może jest moim – ale i ich – ratunkiem i ocaleniem. Tak chce Królowa. Królowa Niebios – moja największa miłość. Miłość, dla której umrzeć w mękach, to byłaby błahostka. To byłaby rozkosz. Dlatego, choć to takie ludzko-tragiczne, takie bolesne, dlatego mimo to z taką rozkoszą umieram.

Miguela była jedną z tych wielkich duchem istot kobiecych, które tak rzadko spotyka się na drodze życia. Była wysłanniczką z jakiegoś królestwa i miała tę anielską charyzmę, która sprawiała, że w każdym spotykającym ją heteroseksualnym mężczyźnie ożywała nagle cała jego rycerskość i gotów byłby jej poprzysiąc natychmiastową wierność do końca swoich dni. Bo wiedział, że ona by mu wystarczyła. Ona – bogini. Niewyczerpane źródło uszczęśliwiającej energii witalnej.

Ale Miguela zbłądziła. Oddaliła się od źródła, odcięła się od niego na skutek doznanego i ciągle na nowo doznawanego cierpienia, na skutek skazującego ją w jej oczach na alienację, na niemiłość, tego wewnętrznego poczucia, że Pan Bóg się pomylił, dając jej na to ziemskie życie ciało kobiety. Bo ona... nie była zdolna kochać mężczyzn tak, jak kochała kobiety. I kiedy jej pomogłem dogłębnie sobie to uświadomić, jej piękne ciemnozielone oczy stały się jeszcze smutniejsze. Więc musiałem się w niej zakochać. Żeby jej moją miłością, moim ślepym oddaniem, moim dla niej zachwytem wynagrodzić to jej cierpienie i przywrócić jej wiarę. I chyba mi się to udało. Tylko za dużą z mojej strony cenę. Może nawet za zbyt dużą... Ale co ja jeszcze miałem do stracenia? Przecież Aiysha odeszła ode mnie, bo sama tego chciała. I zostawiła mnie samemu sobie na tym padole łez. Więc nic nie miałem do stracenia. Bo dla tego świata byłem już przecież stracony. A po tym, co przeżyłem, po doświadczeniu tej tragicznie przez los ukoronowanej miłości – i tak już nie żyłem. I i tak już wyszedłem z kręgu własnego przeznaczenia. I teraz chciałem, żeby Miguela też z niego wyszła. Bo była tego warta. Była tego po stokroć warta. Więc, powiadam, musiałem się w niej zakochać. Po to, żeby ją ocalić. I żeby siebie ocalić. Bo kiedy ocala się kogoś, ocala się też siebie – choćby się miało umrzeć. Tego się nauczyłem. To już wiedziałem. Więc zakochałem się w niej dla niej samej. Całkiem na trzeźwo i bez znieczulenia. Bo tego bólu nie należy unikać. To musi zboleć. To musi zboleć i rzucić na kolana. Tak postanowiła kiedyś Królowa. Wiem o tym.

I dlatego siebie nie oszczędzałem. Bo wiedziałem, że stoi za tym Królowa. A może też i Aiysha. I że to ma być kolejny szok. Żeby niemiłość nie przejęła nade mną kontroli. Niemiłość, która mnie już ogarniała.

Była to zatem możliwość utraty samokontroli. Samokontroli, żeby nie kochać. Żeby nie umierać. Więc nie zwlekając, rzuciłem się na środek jeziora w czasie sztormu; nie umiejąc

pływać. Bo w takich sytuacjach zapomina się, że się umie pływać – żeby nie mieć samokontroli. Mimo że nie po raz pierwszy się to robi. Nie po raz pierwszy umiera się z miłości. Znany już z tego umierania byłem ponoć nawet w innych wymiarach. I wiedziałem z doświadczenia, że nie mam właściwie innego wyjścia. Że nie mam innego wyjścia, żeby z siebie zedrzeć starą skórę. Skórę niemiłości, która się na mnie nawarstwiła.

Ale kiedy znowu umarłem i ponownie się narodziłem, znalazłem się na wyższym stopniu spirali – w wymiarze, w którym się już kiedyś wspólnie z Aiyshą narodziłem. Nasz los przejął wtedy nad nami kontrolę. A my staliśmy się jego – widząc sprawę z ludzkiej perspektywy – staliśmy się jego tragicznymi ofiarami.

O tym jednak być może kiedy indziej. Bo to znowu wymaga podróży do wnętrza siebie samego. Do wnętrza, które wydaje się być jedynym szlakiem na zewnątrz, jedynym prowadzącym do Królestwa. Do mojego własnego królestwa, do którego muszę przecież jakoś powrócić.

A ponieważ teraz znowu umarłem, myślałem, że tym razem może już naprawdę. Że może już nie powrócę. I myślałem, że nie przeżyję pewnej niewielkiej, rutynowej operacji, którą miałem przed sobą. I wtedy, kiedy już napisałem ten fragment pamiętnika, pojawiła się nagle Su – tak jakby przez te parę lat nic się nie stało – i powiedziała:

– Plany zostały zmienione. Nie umrzesz w czasie dzisiejszej operacji. Nie skończyłeś jeszcze pisać pamiętnika. Ponadto te nieporozumienia wokół sprawy seksu... muszę ci też jeszcze wyjaśnić. Wpisz to do pamiętnika, bo to ważne. Już wiele razy o tym mówiłam, ale ty jakbyś nie kapnął do końca. I sam się ostatnio zastanawiałeś, czy gdyby Miguela okazała się kobietą o podwójnie spolaryzowanej osobowości, tak jak i ty, ale też podobnie jak i ty, heteroseksualnej płciowości, czy nie powinienesz, gdyby się wydarzył taki nieprawdopodobny przypadek, czy nie powinienesz się z nią związać i mieć

męskiego potomka. I zastanawiałeś się, czy ona jednak, ze swoim idealizmem, tą swoją wewnętrzną uczciwością i tą tak potrzebną każdemu heteroseksualnemu mężczyźnie charyzmatyczną siłą kobiety-matki, nie byłaby właściwą dla ciebie partnerką. Jednym słowem pomyślałeś, że może Królowa, może Najwyższy podsyłają ci jednak kogoś, z kim miałbyś ponownie osiąść na jednym z tych karmicznych poletek koła przeznaczenia. Zastanawiałeś się nad tym, prawda?

Su znała moje myśli. Trudno byłoby ich stan jaśniej sformułować.

– Ale się zawiodłeś. Już my cię dobrze pilnujemy, nie martw się. Niemniej tak rzeczywiście jest: seks nie jest niezdrowy. Tyle że w obecnej fazie dziejów ludzkości seks jest zdrowy głównie dla ciała, nie zaś dla ducha. Przynajmniej ów seks pozbawiony intencji partnerstwa. Intencji, aby komuś siebie w pełni i bezwarunkowo ofiarować. Musisz bowiem zrozumieć, że akt płciowy został pomyślany przez tych inżynierów kosmicznych, którzy w imieniu Stwórcy projektowali wasz gatunek i w ogóle życie, otóż ów akt został tak pomyślany, że miał być on aktem stwarzania życia, aktem zasysania do minikosmosu kobiecego ciała informacji, które poprzez proces przetworzenia energii praźródła w systemie hormonalnym ciała mężczyzny w spermę, miały dostać się do jednego z obecnych w kobiecym łonie mikroświatów i – naśladując inne akty stworzenia – dać mu światło, czyli przekazać jego biologiczno-materialnej strukturze, reprezentowanej przez jajeczko, informację o wzroście. To tak, jakby ktoś ci w ciemności podał latarkę, źródło światła, abys zobaczył zgromadzony wokół siebie materiał budulcowy i abys zaczął budować dom. Męskie nasienie symbolizuje bowiem światło, informację. Czyli uświadamia powstałemu życiu, powstałej ze światła i ciemności, z energii i materii, bosko-ludzkiej istocie – jej położenie. Akt płciowy jest więc aktem stwórczym, aktem stwarzania. Funkcjonuje on na wszystkich poziomach egzystencji, materialnej i niematerialnej,

organicznej i nieorganicznej, subatomowej i atomowej, cząsteczkowej i komórkowej.

I jest rzeczą oczywistą, że w przyrodzie seks ma miejsce również niezależnie od samego aktu stwarzania życia – ponieważ jest wzorem, zasadą, która nie może ulec zapomnieniu, gwarantuje bowiem prokreację. Niemniej akt płciowy jest szokiem dla ducha, wybuchem, zasilanym z puli stojącej każdej jednostce do dyspozycji energii życiowej. Seks pochłania więc, zużywa wasze ciało eteryczne, wrywa szczelbę w tej drabinie energetycznej, jaka łączy was z Niebem, z energią praźródła. Oczywiście drabinę tę można potem naprawić, zregenerować. Poprzez miłość. A mówiąc dokładniej – poprzez znajdowanie się w stanie miłości, zakochania, oddania, poświęcenia; znajdowania się w stanie twórczego uniesienia.

Jaki więc wniosek?... Im więcej kochasz, tym więcej masz życiowej i duchowej energii – pod warunkiem, że kochasz naprawdę. Kiedy zużywasz tę energię na pozbawiony intencji miłosnej seks, regenerujesz wprowadzić na pewnej płaszczyźnie swoje fizyczne i „psychiczne” ciało, ale zużywasz swoją substancję duchową, charyzmatyczną. Kiedy ciągle zmieniasz partnerów, kiedy myślisz tylko o zaspokojeniu swojego instynktu, to jest to dla twojej duszy tak, jakbyś posyłał ją za każdym razem na przedwczesną emeryturę. Jakbyś ciągle rozpoczynał nową budowę, nie ukończywszy poprzedniej. Jednym słowem – za każdym razem bierzesz nowy kredyt i popadasz w kolejny dług. I wtedy panicznie zaczynasz poszukiwać możliwości uzyskania kolejnego kredytu, nowego źródła energii...

– Moment – wtrąciłem się. – A te wszystkie na śmierć i życie zakochane pary?... Przecież to też jest miłość.

– O tym właśnie mówię. Ale miłość ta trwa, dopóki kochają. A kochać to znaczy odczuwać ten stan czyjejsz uszczęśliwiającej obecności, bycia „w”, w kręgu czyjejsz aury, która cię łąduje swoim prądem tak długo, jak długo masz jeszcze głód tej energii, tego wzbogacającego twój zakres pasma. Lecz kiedy to

przestaje funkcjonować, przestajesz odczuwać ten uszczęśliwiający stan. I wtedy seks jest to już tylko okradanie się; okradanie się w swoim własnym łóżku ze swojej własnej życiowej energii. Czyli degeneracja, która z czasem – gdy twoja aura, twoje ciało eteryczne (zwane duszą) odpowiednio się wykrzywi, gdy jego dodatnia pula się wyczerpie – może również doprowadzić do degeneracji ciała fizycznego, czyli twojego biologicznego organizmu.

Oczywiście możesz ciągle na nowo się zakochiwać i znajdować sobie ciągle nowe partnerki. W momencie jednak, kiedy realizujesz się na coraz to nowych płaszczyznach cielesnych, czyli wchodzisz w coraz to nowe związki partnerskie, sytuacja komplikuje się również na płaszczyźnie etycznej i karmicznej. To tak, jakbyś w swojej piwnicy ciągle otwierał nowe butelki z winem, wypijał z nich po parę łyków, a potem odstawiał je z powrotem na półkę. Wino w końcu zacznie się w nich psuć. Z czasem zaś robi się w twojej piwnicy taki niemiłosierny smród, że już sam nie będziesz mógł tego zdzierżyć. I wtedy będziesz musiał i tak zrobić w niej porządek i spić całe to popsute wino do końca. Wiesz, ile „żyć” będzie ci na to potrzeba? Musiałbyś się dziesiątki razy narodzić, żeby pospijać te wszystkie butelki. Albo stać się alkoholikiem. Lub... narodzić się w nie swojej skórze właśnie. Po to, żeby się nauczyć kochać. Kochać, a nie spółkować. Bo spółkować umie każdy.

– Ale chyba nie chcesz przez to powiedzieć, że im mniej jest się aktywnym seksualnie, tym więcej ma się energii życiowej?

– Oczywiście, że nie. Ale każde przebranie miary rodzi kolejny niedosyt. Wchodzisz do kolejnej studni, zwabiony jej słodkim zapachem, i po raz kolejny musisz się z niej wydostać. Potem do kolejnej. I znowu. Od któregoś momentu tracisz już jednak siły potrzebne, aby samemu wydostać się na zewnątrz. I jesteś skazany na pomoc. Albo na błędzenie w sieci podziemnych korytarzy. W końcu przyzwyczajasz się do tej sytuacji i przestajesz odczuwać jakiegokolwiek wyrzuty sumienia, nawet

jeżeli krzywdzisz innych. Nie wiesz, że jesteś na dnie. Nie wiesz, że jesteś zniewolony. I tracisz zdolność do odczuwania stanu swojego wnętrza. A z czasem także wrażliwość na wyrządzaną innym krzywdę. Tylko wtedy, kiedy sam nie jesteś związany, zniewolony i nie zniewalas świadomie innych, czyli ani siebie, ani innych nie krzywdzisz, może zrodzić się w tobie to poczucie, że jesteś wolny; że jesteś od środka – na zewnątrz.

Zawsze powinno się więc mieć przed oczami swój całościowy bilans energetyczny. Lepiej oczywiście mieć seks i kochać, niż nie mieć i nienawidzić. Ale czystość intencji stoi dziś na pierwszym miejscu. Zresztą nigdy nie było inaczej. Zawsze chodziło o zachowanie harmonii między tym, co dzieje się na zewnątrz i w środku. Im więcej jednak brudów w was wchodzi, tym intensywniejsze musi być pranie. Chodzi więc o niestawianie ciała i jego potrzeb na pierwszym miejscu, co wcale jednak nie oznacza, żeby ciało zaniedbywać. Ale ciało jest tylko doświadczeniem ducha. Doświadczeniem, jakie on sam na sobie robi w tym biologicznym świecie. Najważniejsze jest więc – kochać. Nie bać się platonicznie się zakochiwać. Bo kto nie umie zakochiwać się platonicznie, ten nie może zostać dopuszczony do finału. Ten nie dojrzał do miłości. Nie oczyścił się. Nie zrzucił z siebie starej skóry węża. Każda nowa miłość to jest więc taki próbny egzamin dojrzałości. Musisz kochać i cierpieć, aby nauczyć się kochać i nie cierpieć. Kiedy kochasz, gromadzisz energię i wzmacniasz w sobie swoje ciało eteryczne. Słowem „eteryczne” określam tu całe niewidoczne dla was ciało duchowe. Możesz je sobie wyobrazić jako twoją hiperfizykalną rentę, całość twoich duchowych oszczędności. Oszczędności, których nie da się zgromadzić na żadnym koncie bankowym. Oszczędności te bowiem robiłeś w eterycznej czasoprzestrzeni, pozwalając twojemu duchowi na ekspansję, rozszerzanie się – czyli kochając. Odjąć od tego tylko jeszcze musisz twoje wydatki, czyli to, co robiłeś nie z miłości i nie z miłością, na przykład zaspokajanie niektórych potrzeb natury czysto fizykalnej, czy

też przyczyniających się do odebrania innym dla własnej korzyści jakiejś części władzy... Ważne jest więc, aby się nie przywiązywać do kogokolwiek lub do czegokolwiek, ale aby mimo to – tego kogoś lub to coś – kochać. Przywiązywanie się czyni cię nieszczęśliwym, gdyż jest ono także wynikiem wzięcia w posiadanie, od którego jest już tylko jeden krok do egoizmu, uzurpatorstwa. Musisz się nauczyć być wiernym, ale nie z przywiązania, lecz z miłości. Tylko będąc wolnym, nieprzywiązanym, mając dystans do swoich własnych potrzeb, możesz być naprawdę szczęśliwy. Musisz mieć to wewnętrzne poczucie, że jesteś wolny jak ptak i kochać... z nadmiaru miłości, która się w tobie gromadzi, która – gdy jesteś wolny – ma do ciebie dostęp. Ponadto...

Su podrapała się po główce.

– Czasy są skomplikowane. Ludzka biologia przechodzi gwałtowną przemianę, bo wchodzicie w nową epokę, gdzie masowo zapanuje inna, bardziej uduchowiona hierarchia wartości. Dlatego część z tego, co do tej pory uznawane było za słuszne i prawidłowe, nie jest już aktualne. Nowy człowiek będzie miał nie tylko nową biologię, ale i doskonalsze, o wiele bardziej wyostrome zmysły. I będzie miał bardziej bezpośredni kontakt ze sferami ducha, które dziś są dla niego prawie zupełnie niepostrzegalne. Nie wejdzie jednak do tego nowego królestwa nikt, kto się nie oczyścił; kto nie stał się wewnętrznie wolny. Dlatego takie ważne jest nauczyć się dzisiaj kochać – także nie pożądaną. Lub przynajmniej kochać, nie redukując miłości do pożądania. Czyli zerwać z siebie te łańcuchy, którymi jesteście przykuci do staroplemiennego, przedchrześcijańskiego koła karmy – czyli do murów waszych cel więziennych. Gdzie waszymi strażnikami są wasze przepisy i obyczaje. Obyczaje, jakie wymuszają na was akceptację dla tradycji i norm współżycia, które są w stanie zaakceptować wasi sąsiedzi, wasi koledzy z pracy, wasi rodzice; i wasi szefowie i szefowe. Ale miłość to nie są normy, to nie są obyczaje, to nie jest skorumpowana plemienna tradycja; to nie

jest praca; i to nie jest fitness... Tego nauczał was wasz Pan. Ale czy wyście to zrozumieli?

Miłość to jest twórcza namiętność, czułość, poczucie wspólnoty, dążenie do wspólnego dobra, okazywanie innym i sobie wzajemnie głębokiego współczucia. Ale miłość to jest przede wszystkim uwielbienie tego, Co Boskie, niepojęte, niezmierzone. Tego chce od was Bóg. Wasz Bóg Prawdziwy. Ten od pierwszego i jedenastego przykazania. Wam stają jednak w drodze skostniałe tradycje, fałszywe normy, ludzka zawiść. Niestety bardzo często ze strony tych, którzy albo sami was chcą osiąść i zachować tylko dla siebie – jak te najlepsze homo przyjaciółki i homo przyjaciele; albo jak ci pseudo życzliwi rodzice, którzy tak naprawdę nie są w stanie zaakceptować waszej heteroseksualności; albo... homoseksualności. Bo nie rozumieją, że to nie tak zwana orientacja seksualna, ale duch miłości bliźniego musi pochłonać wasze serca.

Tacy degeneraci jak Le Pard przyczyniają się jednak również do rozwoju duchowego innych. Ukazują bowiem, czym człowiek się staje, kiedy pozbawia swoje działanie zasady miłości i bazuje jedynie na potrzebach swojego ciała i logicznego umysłu. Ale do tej rezygnacji z własnej uczuciowości usiłuje was właśnie namówić wichrzyciel, niby to pod pozorem konieczności bycia człowiekiem rozumnym. I robi wszystko, żebyście nie zaznali szczęścia w miłości. Uczynił on z waszej płciowości rodzaj groźnego, silnie uzależniającego narkotyku, ale... odbiera wam wasze serca, waszą czułość, waszą emocjonalną wrażliwość. Dlatego tak ważny jest kontakt z muzyką, z miłosną poezją... Bo prawdziwa sztuka jest mistyczna, pochodzi z natchnienia Ducha Świętego. Starają się one wyrazić to, co niewyrażalne, co łączy jeziora waszych serc z tym kosmicznym oceanem, który was otacza ze wszystkich stron. Oceanem miłości oczywiście, a nie oceanem tępego rozumu, zimnej kalkulacji i „dobrego” seksu. Zresztą żaden seks nie będzie tak dobry, jak seks łączący dwojga namiętnie i autentycznie kochających się ludzi. Taki

seks zaspokaja was na wszystkich poziomach energetycznych, łączy wasze siedem cielesnych „czakramów” z galaktycznym i kosmicznym centrum energetycznym. Żadna, nawet najlepsza symulacja nie może tego uszczęśliwiającego stanu zrekompensować. Nie doznajecie jednak prawie nigdy tego rodzaju miłości w tym wymiarze, ponieważ związałoby to was z tym niskim wymiarem na wieczność, zamykając wam drogę do prawdziwie szczęśliwego, wyzwającego was z tych niskich wibracji życia wiecznego.

I pamiętaj jeszcze o czymś, Slim. Wszyscy, których kochałeś, staną się kiedyś twoimi sprzymierzeńcami. Jak nie w tym, to w innym życiu i w nowych okolicznościach. Kochaj więc, ile sił, i nigdy nie przestawaj modlić się o miłość w swoim życiu i w życiu innych ludzi. I kiedy kochasz i się modlisz, nie wymagaj nic za to. To najlepsza recepta, żeby być szczęśliwym.

Grudzień 2006

Tak naprawdę to ten cały wykład Su nie na wiele mi się zdał. Co dla mnie z tego wynikało? Że egzystowanie w tym świecie bez Aiyshy nie ma dla mnie żadnego sensu, ponieważ nie mam już nawet kogo platonicznie kochać? I ponieważ nie byłem gotów odebrać sobie życia, a jednocześnie nie miałem już siły żyć wśród ludzi, którzy tak dalece odstawali od moich idealistycznych wyobrażeń o szczęściu lub też o szczęściu, które mogłoby zapanować na tej planecie, gdyby wszyscy żyli wedle przykazania miłości? Faktem jest jednak, że na powrót do tej pierwotnej, nieskałanej szczęśliwości, o którą mi chodziło, było już przynajmniej o te parę tysięcy lat za późno. Ludzie zostali wyklęci z raju i zupełnie o nim zapomnieli, tak jakby z ich żył do dzisiaj jeszcze nie wyparował zatruty jad. Jeżeli zaś założyć, że żadna jednostka nie potrafiła się wyzwolić z węzowatych sideł zbiorowo-szatańskiej świadomości, to rzeczywiście jedynym chyba rozwiązaniem byłoby ponieść jakąś wielką samoofiara za ten świat, na przekór tak zwanemu diabłu. I nie tylko jemu,

ale i sobie. Sam ze sobą nie potrafiłem bowiem już wytrzymać. Ze sobą, który nie miał kogo kochać. Po śmierci Aiyshy jeszcze wprawdzie czułem tę jej miękką obecność, tę boską mgiełkę, która zdawała się mnie do siebie przytulać – w jakimś niewidocznym, przypowietrznym dotyku. Ale i to uczucie mnie opuściło. A z czasem opuściło mnie i to inne, towarzyszące mi od czasu do czasu po śmierci Aiyshy piękne uczucie, które mi dawało jeszcze możliwość trwania na zewnątrz – to uczucie zjednoczenia ze wszystkim, z siłami natury.

I wtedy nie pozostało mi już nic, więc na swój celownik wziął mnie diabeł. Bo nie byłem już od nikogo i od niczego zależny i mu wadziłem w tym świecie. Bo się wyzwoliłem i stałem się zbyt wolny. I wtedy wolności mojej diabeł mi zagroził – złapał mnie w diabelskie sidło, kiedy się pracuje, je i pije, i zaspokaja tylko te czyste potrzeby własnego ciała, ale kiedy od wewnątrz jest się osaczonym w tej pustej przestrzeni między życiem a śmiercią, w której nie ma Boga.

I wiedziałem, że jedyną metodą, żeby się temu przeciwstawić, jest się zapomnieć, rozbić wszystkie swoje złudzenia w pył, który się wznosi, kiedy ktoś przejeżdża galopem suchą i ziemistą drogą w środku gorącego lata.

Stać się jak pył, z którego nic już nie da się odtworzyć, żadnego kształtu ani żadnego złudzenia – tego tak naprawdę teraz więc pragnąłem.

PS. Drodzy Czytelnicy, zapewne zadajecie sobie pytanie, czy ja, autor tej książki (czy też tego pamiętnika), czy ja, Slim Morano, nie umiem pisać zakończeń, a przynajmniej zakończeń rozdziałów. Moja odpowiedź jest taka: Umiem, i to chyba nawet umiem pisać bardzo dobre zakończenia. Pozostaje więc pytanie – dlaczego ta historia o Aiyshy i Atai nie ma zakończenia lub też dlaczego ma ona takie mikre, nieciekawe, zdawałoby się, i takie niewspółmierne do całości zakończenie.

A ja się was pytam – czy uczciwie jest pisać zakończenie,

które w ogóle nie miało miejsca? I które mi się nawet ani nie przyśniło, ani w żaden sposób nie objawiło?

Bądźmy więc uczciwi. I miejmy trochę cierpliwości. A wówczas może zakończenie – takie naprawdę zasługujące na to miano zakończenie – napisze się kiedyś do tej historii samo. Chociaż tak naprawdę to to zakończenie może napisać tylko Bogini. Przekonajcie się zresztą sami: uklękniecie u jej stóp i poczekajcie, aż przed waszymi oczami pojawi się słony potok – nowe źródło życia. Potem powtórzcie to ćwiczenie jeszcze parę razy, a zobaczycie, że wcześniej czy później w nim się rozpłyniecie, w tej waszej własnej słonej rzece – jak lód rozpływa się na wiosnę w promieniach wschodzącego słońca i jak iskrzący się w nim na polach południową porą śnieg, tracąc swoje jedyne oblicze, rozpuszcza swoją biel w łonie tej, która go porodziła. W jej świętym łonie. Łonie, które nie zna grzechu, bo nigdy się od siebie nie oddzieliło, nigdy nie stało się przedmiotem, rzeczą. I do dziś nie ma nazwy.

Mówi się – Bogini. Mówi się – Królowa. Mówi się – Najwyższy. Mówi się – Nienazwany. Ale tylko milczenie stanowi właściwą nazwę.

Zdobądźcie się więc na milczenie: niech zmiękną wam kolana. I niech słona rosa poniesie was prądem nienazwanej rzeki. Zobaczycie wtedy światło. I dopłyniecie do nowego horyzontu. Tam na was czekam ja – wasz król. I tam rozciąga się moje królestwo. A jest ono nieskończone. I nie do opisania piękne. I wieczne ponad wszelką wieczność. Tam opowiada się historia, która kiedyś się zaczęła – ale która nigdy się nie skończy. Bo ja jestem nieskończony. Jestem waszym Panem. A Slim jest księciem na moim dworze. Powierzyłem mu zarząd nad nowym królestwem. Możecie je nazwać trzynastym królestwem, ale ono nie ma nazwy. Więc idźcie za Slimem, tropcie jego ślady, ważcie jego słowa. Abyście nie stali się plugawi, jak wasze czcze i wredne języki, i jak wasze osaczone w smrodzie waszych plugastw ciała. Abyście w obliczu niemiłości – wybrali miłość. Miłość albo śmierć.

Jestem waszym Panem i waszą Królową w jednej osobie. Jestem źródłem wszelkiego światła i wszelkiej miłości. Nigdy jednak nie ujrzycie mojego oblicza, dopóki nie staniecie się jak Slim; i jak śnieg; i jak piasek...

Autorstwo: Slim

Źródło: WolneMedia.net